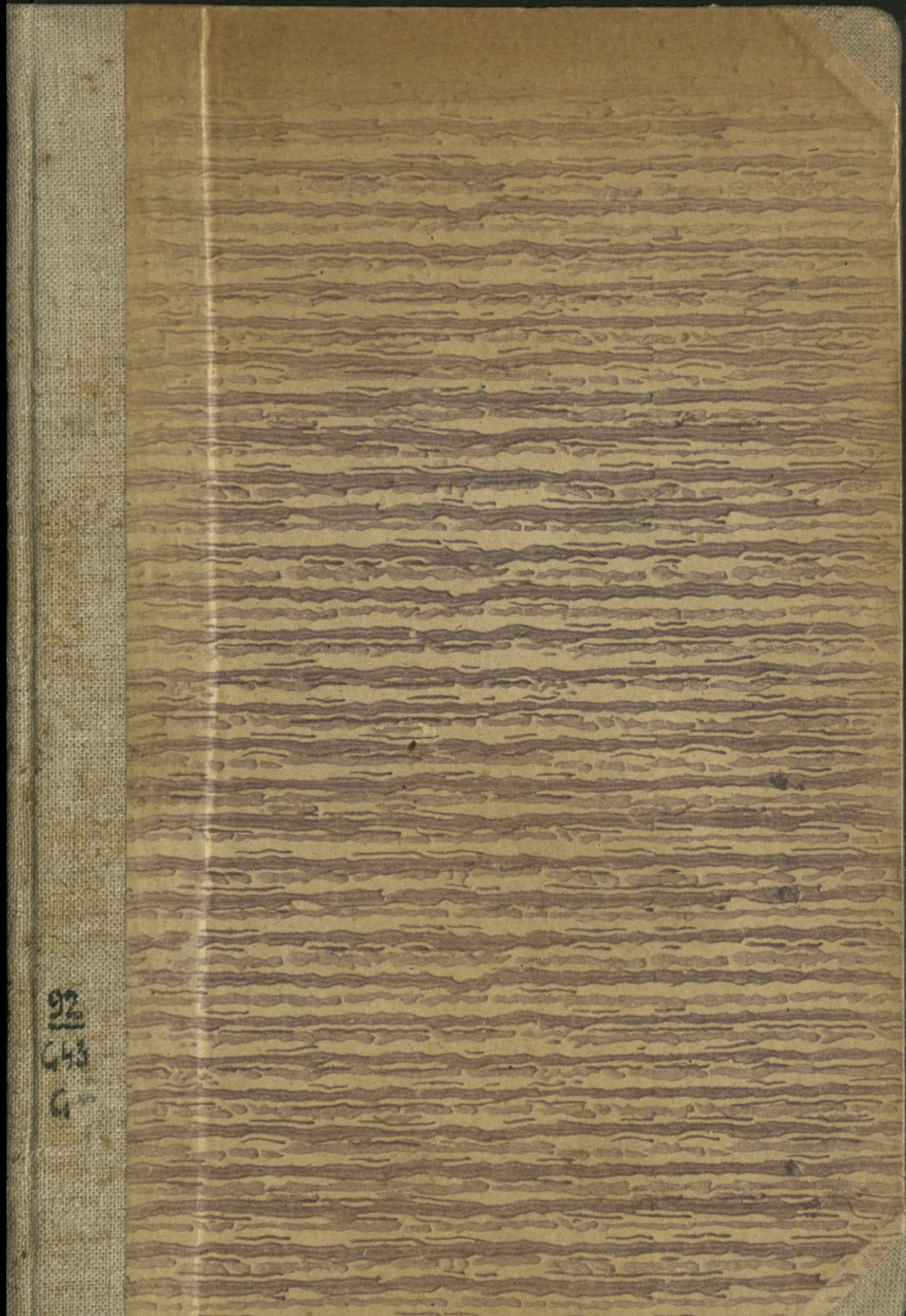
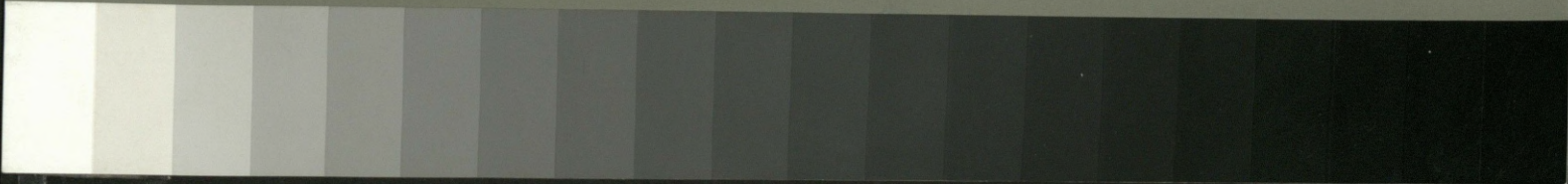


Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



6135

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

**Colour Chart #13**

Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black
------	------	-------	--------	-----	---------	-------	---------	-------

DANES-PICTA .COM

92

C43

G

ROBOTNICZY KOMITET OBRONY NIEPODLEGŁOŚCI

# BOHATER

## Proletariatu Polskiego

EDWARD GIBALSKI

(FRANEK)

PORUCZN. PIERWSZEGO PUŁKU UŁANÓW

K. C. P. P. R. BIBLIOTEKA		
№	92:5	G
	643	

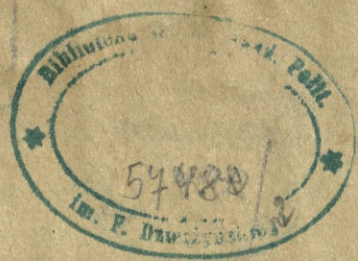
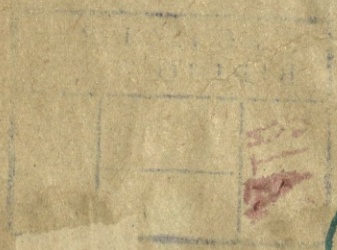
napisał  
St. ANDRZEJ RADEK

K. C. P. Z. P. R. BIBLIOTEKA		
242	3K31	
	Radek	



Skład Główny: Księgarnia Robotnicza, Wspólna 17,  
w Stanach Zjednocz. Chicago, „Dziennik Ludowy“.  
1920.

92 (Sibalulu E):







— „cisza — lecz w tej ciszy  
 coś się kłębi, szarpie — dyszy —  
 .. Serce — w otchłań skacz!...

Cisza panowała wśród narodu polskiego przed rokiem 1905.  
 Cisza zapomnienia.

Cisza niewiary i zwątpienia w samego siebie.

Nad polską krainą okropny sen martwoty roztoczył czarne skrzydła, które na rubieżach bagnetami żandarmów przytwierdzono do ziemi.

Po wioskach i miastach, wśród lasów i pól rozstawił wróg płatnych szpiegów, szalbierzy, bandytów i usypiaczy narodu — aby zaś strzegli martwoty snu polskiego i aby czuwali — by nikt ciszy nie zamącił.

I trwała w Polsce długo nieprzerwana cisza.

Aż oto w otchłań tej ciszy poczęły skakać serca bohaterów młodych, a rozbijając się o twardy granit najazdu — ostatnim hardym okrzykiem budziły ze snu martwego sumienie polskiego narodu!

I powoli budził się lud i zdumiony słuchał: — jak w tej ciszy — coś się mąci, szarpie, dyszy..

A od rubieży do rubieży, po przez całą polską ziemię przetaczał się gromkim echem głos wodza narodu — Józefa Piłsudskiego:

— Za Wolność i Niepodległość!

— Do broni!

I ten zew bojowy usłyszała pierwsza młodzież robotnicza — usłyszał sercem młodzieńczym Edward Gibalski — i stanął w szeregu Bojowej Organizacji P. P. S.

Można powiedzieć, że on się już bojowcem urodził. Od wczesnej młodości przejawiał odwagę, połączoną ze skromnością, która następnie przerodziła się — jak poczwarka w motyla — i zajaśniała świetnym talentem konspiracyjnym.

Każda epoka i wiek posiadają w historii (specjalnie wyrobiony typ — wojownika-rycerza, który ideje swego narodu usiłuje wprowadzić w czyn, a walkom o szczęście i sławę nadaje odpowiedni ton i zabarwienie.

Takim właśnie typem rycerza-bojowca z lat rewolucji 1905 roku stał się Edward Gibalski. Posiadał on pozatym wszystkie zalety rycerzy walczących o Niepodległość w roku 31-ym i 63-im i jakby przekazane przez nich doświadczenie omijania tych przeszkód, o które tamci się potykali. Przedziwnie łączyła się w nim dumna, żołnierska odwaga generała Chłopickiego ze skromną, acz beznadziejną wytrwałością Trauguta i śmiała, szalona brawura ułanów z pod Sammo-Sierrey z chłodnym zdecydowanym męstwem generała Sowińskiego. Nadto posiadał on cudowny, boski dar jednania sobie ludzi, których czarował słodyczą swego charakteru, skromnym obejściem, oraz taktem pełnym wyrozumiałości, ale zarazem i silną stanowczą wolą.

Ojciec jego, robotnik i powstaniec z 63 roku zwykł był opowiadać synowi o walkach z Moskalami, o zwycięstwach i trudach, oraz o wielkiej miłości dla Ojczyzny i Wolności tych, którzy szli w bój beznadziejny — i wylewali serdeczną krew z żyl swoich, ażeby na szlaku dziejowym nie wysechł posiew dla przyszłych pokoleń, ażeby nie pękła krasna nić tradycji polskiego oręża.

Musiały opowiadania takie oddziaływać na wyobraźnię chłopca. Budziła się w młodzieńczym sercu chęć odwetu i głęboka miłość tej ziemi, tak szczerze krwią ojców zroszonej oraz refleksja, iż tylko siłą oręża będzie można zmusić wroga do ustąpienia z tej ziemi, do uszanowania godności polskiego narodu.

Więc też całą swoją płomienną duszą ukochał broń! Nie rozstawał się też z nią nigdy. Mając browning w kieszeni szedł śmiało między największą zgrają szpicli i żandarmów i był pewny, że mu nawet jeden włos z głowy nie spadnie.

To zamiłowanie do broni sprawiło, że koledzy patrzyli na Gibalskiego z nadzwyczajnym zachwytem, starsi roboczarze z respektem, a majstrowie bali się go poprostu.

Gibalski bowiem, pracując w fabryce Hessego w Lublinie — stale znosił stare graty, jak świat — dubeltówczyny, pistolety przedwieczne, rozbójnicie jakieś noże i kordelasy, na pozór tak straszliwe, że aż skóra cierpła na widok onego zbójckiego narzędzia. W rzeczywistości jednak były to przedmioty bardzo niewinne i absolutnie bezpieczne.

Na one jednak czasy robiły wielkie wrażenie. I młody uczeń ślusarski, z wielkim narażeniem się, pokryjому, czyścił to wszystko, naprawiał i przechowywał; miał bowiem to przekonanie, że lada dzień przydać się mogą.

Aż wreszcie przyszedł taki błogosławiony dzień. Przewijał się on jak czerwona nić po przez wszystkie młodzieńcze sny i marzenia. Teskniło doń serce jak do pierwszej, a jeszcze nieznaney — miłości. I oto tajemne, głęboko w sercu ukryte pragnienie — stawało się rzeczywistością.

Na rozkaz Piłsudskiego została w Lublinie w 1905 r. zorganizowana pierwsza „piątka” bojowa, a pierwszym jej komendantem został Gibalski.

Teraz dopiero dla chciwej nieśmiertelnych czynów duszy młodzieniaszka — otworzyło się szerokie pole działania!

Romantyczne usposobienie znalazło teraz ujście w życiu pełnym nadzwyczajnych przygód, a czyhające zewsząd niebezpieczeństwa podniecały tylko młodego bojowca do coraz śmielszych czynów. I niejednokrotnie, kiedy zdawałoby się, że już i sam djabeł nie wiedziałby jak sobie poradzić — Gibalski z przepysznym uśmiechem zwracał się do swoich podkomendnych — „Chwalcie Boga, chłopcy, że tylko tak jest, bo mogłoby być jeszcze gorzej” — i zdrowo i cało wyprowadzał wszystkich na bity gościniec bezpieczeństwa.

Do pierwszej „piątki”, którą zorganizował Gibalski przy pomocy członka O. K. R. Laskowskiego — należeli: „Karol” (Pączkowski), Purc, Blady i Dyrz (później prowokator). Komendantem tego oddziałku został Gibalski. Cóż, kiedy nie było broni.

Ale jak dawniej magnaci przyprowadzali królowi na wojnę pułki własnym kosztem uzbrojone, tak teraz, do walki o Polskę Ludową — młody robotnik, Gibalski — zorganizował i uzbroił oddziałek własną swoją bronią.

A nikt wówczas nie przeczuwał, chyba jeno sam Wódz, że jak z małych grudek śniegu, staczających się z gór, urasta straszna lawina — tak z tych maleńkich kólek bojowych miała powstać potęga wojska polskiego.

Gibalski odrazu rozpoczął z najeźdźcą bój na śmierć i życie.

Pierwszy padł strażnik na Krakowskiem, wkrótce dwóch strażników koło browaru Vettera, za parę dni znowu sławny kat-strażnik, nazwiskiem Piekarz, na ulicy Szewskiej.

Blada twoga ogarnęła moskiewskich siepaczy. Chodzili struci i oszołomieni, jakby ich kto mocno pałką w łeb zajechał. Poczuli nad sobą jakąś tajemniczą i groźną potęgę, któ-

ra zagrażała ich samowoli. Zaś społeczeństwo lubelskie ogar-  
nęła tajemna, skrywana przed wrogiem, radość, podziw i ser-  
deczna, głęboka wdzięczność — dla tych nieznanym rycerzy-  
obronców.

Zaczynała się bowiem rozszerzać rewolucyjna burza —  
i policja wraz z żandarmami rzucili się z całą wściekłością,  
aby tę burzę rozpędzić. Aresztowano więc ludzi, bito, łama-  
no kości, wybijano oczy i zęby. Nie pomogły interwencje  
adwokatów, ani biskupa Jaczewskiego. Aż dopiero kiedy wy-  
padły z tej burzy pioruny i poraziły najzacieklejszych — opa-  
dły innym ręce. Za znęcanie się zawisła nad nimi kara śmierci  
— więc odstąpili.

Odetchnęli uwięzieni. Zaś na wolności wznosiły się ręce  
kobiet ku niebu, a usta szeptały słowa błogosławieństwa:

-- „Nie wiemy, o Boże, kto są Oni, ale niech będą bło-  
gosławione ich ręce, a moc Twoja niech czuwa nad nimi“.

Tymczasem — według planu Piłsudskiego — dotychcza-  
sową bojówkę zreorganizowano.

Powstała nowa Organizacja Bojowa, posiadająca swój  
własny statut i regulamin.

Na czele jej stanął sztab, złożony z najzdolniejszych i naj-  
dzielniejszych ludzi.

Bojowcy otrzymali brauningi i mauzery.

Gibalski został mianowany pomocnikiem instruktora —  
w mig zorganizował jeszcze dwie „szóstki“, a kiedy nadeszły  
mauzery, to, z radości, kazał złapać pewnego strażnika, na-  
zwiskiem Jędrzejczak, za łeb i zaprowadzić do restauracji przy  
ul. Koziej. Tu, w oddzielnym gabinecie pokazał mu mauzer.

Strażnik na widok takiej maszyny — padł na kolana i po-  
czął błagać o życie, a kiedy mu Gibalski objaśnił, że z tej ma-  
szyny można wystrzelić sto naboju na minutę i, że kule prze-  
bijają mur dwułokciowy — chłop zapomniał o strachu, a wpadł  
w podziw. Wtedy wytłumaczył mu Gibalski, że cara już jak-  
by djabli wzięli i, że on, jeżeli choć coś dobrego na świecie  
zrobić — powinien służyć rewolucjonistom. Odtąd strażnik  
stałe przynosił z policji różne wiadomości. Wogóle była wiel-  
ka pociecha z owego strażniczyny.

Tymczasem Gibalski wyjechał do Chełma, gdzie miejsco-  
wy „prystaw“ policyjny i sędzia śledczy rozwijali nadzwyczajną  
energję w zwalczaniu socjalistów.

Jakoś w parę dni padł ciężko ranny „prystaw“. Natych-  
miast przyjechał do niego sędzia, aby się czegoś o sprawcy za-  
machu dowiedzieć. Co się jednak dowiedział — niewiadomo,  
bo kule Gibalskiego nakazały mu wieczną tajemnicę. Od tej

pory coraz częściej padały na ulicach Lublina, Chełma, Puław i innych miast trupy carskich zbirów i szpicli. Gibalski wyjeżdżał w różne strony Okręgu i wszędzie organizował nowe „szóstki” bojowe i wszędzie krwią wrogów znaczył ślady swoje.

Popularność Małego (pierwszy pseudonim Gibalskiego), rosła coraz bardziej, osobliwie wśród policji i żandarmów.

W biurach policyjnych ustalono, iż wszędzie działa jeden i ten sam młodzieniec o ruchach gibkich, sprężystych i o ładnej, prawie dziewczęcej twarzy. Natychmiast wydano odpowiednie rozporządzenia i instrukcje. Wyłapano prawie wszystkich niskiego wzrostu, blondynków, ale każdy okazał się nie tym. Mały bojowiec znikł — jak znika sen — pozostawiając po sobie straszne wspomnienie i dręczącą niepewność, czy nie powróci jeszcze.

Gibalskiego tymczasem sztab Wydziału Bojowego wysłał do Zakopanego, gdzie były zorganizowane początkowe kursy dla instruktorów. Na owe kursy wyjechało aż pięciu lubliniaków, między innymi znajdował się i obywatel J. (Selim) — obecnie pułkownik W. P.

Pobył na kresach, a bardziej jeszcze wśród Tatrzańskich gór, na szczyty których odbywały się częste wycieczki — wpłynął na charakter i usposobienie Gibalskiego bardzo dodatnio. Od tej pory we wszystkich jego pracach obok młodzieńczej swobody i niemal dziecinnej beztroskliwości poczyna górować b. znamienny rys: powaga myśli i wyniosłość czynu.

Po chlubnym ukończeniu kursów — został Gibalski delegowany do okręgu płockiego, jako pomocnik okręgowca Bojowej Organizacji.

Do tej pory okręg płocki był najspokojniejszy ze wszystkich okręgów w Królestwie.

Ludzie tu ledwie słyszeli, że tam, na świecie gdzieś, coś, jakaś, rewolucja...

Aby zaś owe wieści bardzo się nie rozpowszechniały — wyaresztowywano od czasu do czasu kupę ludzi — sprawiono im uczciwe mordobicie, jako pamiętne, że władza żyje i czuwa. Poczym znowu następowała cisza. Policmajster jeździł tu w swojej kibitce wolno, spacerkiem, uważając czy wszyscy — Żydzi składają mu należne ukłony, a żandarmi włóczyli się z wypiętymi brzuchami — i — gdzie się dało obdzierali z gotówki obywatela na rachunek „kramoły”.

I żyło to w poczuciu takiego bezpieczeństwa — jakby to nie był rok 1907, ale conajmniej — 95!

Wszystko to Gibalski w ciągu dwóch dni obejrzał, rozpatrzył i poznał.

Poczym przybrawszy pseudonim — Franek — przystąpił do pracy.

W rozbastwione czynownictwo i żandarmów — poczęły naraz bić pioruny jakoby wprost z jasnego nieba!

Długo teraz namyślał się strażniczyna — nim podniósł rękę na aresztowanego człowieka. Policmajster, jeżeli wyjeżdżał na miasto, to w asyście kozaków i rwał przytym z kopyta nie zwracając uwagi na głębokie ukłony Żydów.

Zaś żandarmi, pochowawszy brzuchy, biegali chyłkiem pod murami, albo rznąli środkiem ulicy — ustawicznie się oglądając.

Długo nie mogli się opamiętać i zorientować w sytuacji. Wreszcie dowiedzieli się, że to jakiś Franek takiego im piekła narobił i poszli po rozum do głowy. W ciągu jednego tygodnia wyaresztowali wszystkich Franków od starego do małego, gdzie jeno jaki żył.

Głośnie, rozgłośnie w plockim okręgu stało się to imię!

W każdej niemal wsi wydziwiała baby:

— A waszego, kumo, Franka zabrały?

— Zabrały.

— O Jezusie najświętszy! I mojego zabrały i od Krępca zabrały i wójtowego Franka też zabrały i prosto do kryminału. Czy my ich nie tak pochrzčili, czy co i teraz przyszło od Ojca świętego rozporządzenie?

— E nie — ino oni jakiegości Franka poszukujom, co podobno ichniego gienierała zabił.

W ten sposób poczęły o Franku tworzyć się legiendy, tymbardziej, że pomimo tak mądrego zarządzenia — na prawdziwego Franka nie natrafiono.

Pomimo to poczęły mu grozić poważne niebezpieczeństwa, ale Gibalski nie zwracał na nie uwagi i począł czynić przygotowania do większych akcji w celu zdobycia rządowych pieniędzy.

O przygotowaniach tych donosi do sztabu bojowego szczegółowe wiadomości w listach szyfrowanych, obok których nie dbale i żartobliwie opisuje słowami niby to o swojej służbie i pryncypale, pragnąc jak najlepiej zaznajomić towarzyszy z sytuacją i widokami powodzenia danej akcji.

Dwa takie listy przytaczamy w całości:

List pierwszy: „Płock” 28/V.1907.7.

Szanowni Moi!

Nie piszę długiego listu, bo przedewszystkiem nie chce mi się, a po wtóre mało mam czasu.

Zajęcia mam bardzo dużo. Cieszy mię tylko, że praca moja jest dość lekka, na co narzekać nie mogę.

Z moim pryncypałem (czyt. policją) żyję w jak najlepszej komitywie i, myślę, że pensję otrzymam niezłą, a w każdym razie największą, jaką on dać może.

Wszyscy mi zazdroszczą tej posady i mówią, że o ile będę się szanował, to w krótkim czasie mogę zrobić majątek. I ja myślę to samo.

Ściskam wszystkich i całuję

Wasz Franek.

Miał też Gibalski na myśli kasę powiatową. W parę dni potem wróciwszy z wywiadu — pisze drugi list, również szyfrem, obok którego zamieszcza taką notatkę:

„Szanowni i Drodzy!

Strasznie jestem zmachany. Całe szczęście, że zdrowie mi służy, ale wyglądam jak murzyn i przypuszczam, że nie tylko rodzona matka — ale nawet Bronka by mnie nie poznała. Nie piszę dużo, bo i tak się napracowałem nad statystyką.

Ściskam Wszystkich

Franek“.

W krótkce potem wyjechał z płockiego Okręgu, ale groza jego imienia długo jeszcze nie pozwalała spokojnie zasnąć rosyjskim szpiclom i żandarrom.

Robociarze i tow. wspominali go z największą serdecznością i żalem, a po wsiach opowiadano sobie baśnie o Franku, który jedynym skinieniem palca zabijał generałów i bez niczyjej pomocy rozbrajał całą sotnię kozaków.

Jeździł jeszcze Franek jakiś czas tu i owdzie po kraju, aż wreszcie zupełnie przypadkowo przyaresztowano go w Warszawie i osadzono w Ratuszu. Popatrzył na Gibalskiego naczelnik ochrany i rzekł głośno: „Ten człowiek powinien wisieć“.

— To jeszcze na dwoje babka wróżyła — odpowiedział Franek.

I w śmierzących, ponurych celach Ratusza zaczęło się teraz bajecznie wesołe życie! Wszyscy więźniowie, jakby po wypiciu mocnego wina — poczuli się naraz ogromnie hardo stawiać! Awantura wynikała za awanturą i agenci naprzóżno łamali sobie głowy, skąd to poszło? Trudno im było podejrzewać małego i wiecznie wesoło uśmiechniętego chłopca. Więźniowie zaś instynktownie, jak kwiaty do słońca zwrócili ku niemu swoje smutne oczy. Mały bojowiec stał się odrazu promieniem więziennych cel — duchem — podbijającym znękanę serca zwyż.

Niektórzy rewolucjoniści — wnosili z sobą do roboty jakąś ponurość myśli i czynu. Szli jak chmura gradowa posępnie z pękającymi grzmotami i przeraźliwym łoskotem. Padał od nich wokoło jakiś złowrogi cień, a oczy ich były jakby oknami straszliwej przepaści — skąd wyzierała śmierć. Bez żalu i trwogi zbliżali się do niej, a każde ich spojrzenie, każdy gest prawie był jakby kosą śmiertelną — ścinającą wokoło siebie zielska i trawy.

Zupełnie niepodobny do nich był tow. Gibalski. Kokiełtował śmierć, ale umiłował życie, jego radości i wesele. Do jego duszy nie miała przystępu rozpacz, ani kwilący smutek niedołęgów. Całą potęgą swego serca ukochał życie i Wolność — to najwyższe źródło szczęścia i radości — i dlatego właśnie w obronie tego życia i wolności gotów był każdej chwili przelać ostatnią kroplę swojej krwi.

Był on jednym z tych „żelaznych kwiatów Piłsudskiego“ — jak słusznie tow. Sławka nazwał znakomity pisarz polski, Kaden.

I jeśli inni byli, jako chmura gradowa, to on jasnym, złotym promieniem słońca, zabijającym jedynie bakcyle suchotnicze, toczące organizm polskiego narodu.

Tymczasem warszawscy żandarmi, nie mogąc nic wymacać, z czego dałoby się upleść powróż na szyję Franka, — po paru miesiącach wypuścili go na wolność.

Nio i dobrze.

Został też zaraz mianowany zastępcą komendanta na Okręg Radomsko-Kielecki i po więziennem próżnowaniu — rążno zabrał się do roboty. Trafił właśnie na okrąg bardzo rewolucyjny i zarazem na wściekle energiczną ofensywę ze strony władz rządowych przeciwko rewolucji.

Wojska tu wszędzie była moc — policji jeszcze więcej. Całymi nocami odbywały się nieustające rewizje, ciągłe aresztowania, badania i sądy. Często gęsto wyjeżdżali na koniach

dragoni i urządzali powracającym z fabryk robotnikom siarczyste płazowania!

Na wszystkich stacjach i stacyjkach — włączyli się szpicle, węsząc jak zgłodniałe psy po śmietnikach. Jeden nielegalnik po drugim wynosili się z tego okręgu już po paru tygodniach — ale Franek, wpadłszy w ten ukrop, poczuł się nagle, jak ryba w wodzie.

Objeżdżając okręg i przyglądając się temu wszystkiemu — kręcił Franek głową, jak gospodarz, który objeżdża zachwaszczone pole i powtarzał: „ale też tu roboty, roboty, huk!”

I czynił przegląd kółek bojowych. Instruktor prezentujący mu bojowców starał się, jak umiał: „Bacność! Wstecz zwrot! Nabij! Cel!”

— No, tak, niczego sobie — uśmiechał się Franek — oglądał broń i objeżdżał.

A kieleccy i ostrowieccy bojowcy — stare wygi — co to już niejedno widzieli — kiwali głowami, uśmiechali się pobłażliwie i radzili.

— Ale też nam przysłali komendanta, to przysłali, niech cię grzmot ogarnie! Mały, fircykowaty, zdaje się jeno, że wykpiśny, ale co nam z jego wykpiszu przyjdzie?

— Jak on się nazywa?

— Wicek.

— No, tym mię dojechał do reszty! Różnych my tu już widzieli, ale takich, tośmy jeszcze nie oglądali!

— Strasznie jednak sprawnie ładował kule do magazynu.

— A ja wam powiadam, że to musi być numer nad numerami!

— Ano, zobaczymy.

Tymczasem Franek, wybrawszy, jako główny, operacyjny punkt — Skarżysko i przybrawszy, jak już wiadomo, pseudonim Wicek — pojechał na jarmark konie kupować.

I wkrótce — w Ostrowcu, Starachowicach, Stąporkowie, w Radomiu i Kielcach zaczęły padać trupy najzacieklejszych carskich zbirów i szpicli.

Na pierwszy ogień poszedł naczelnik kieleckiego więzienia — Greckij, a potem już cała litanja! Wszystkie „szóstki” bojowej organizacji w okręgu były w ciągłym pogotowiu i w pochodach.

Małe stacyjki, monopole wódczane i urzędy gminne, skąd zabierano blankiety paszportowe — w całym prawie okręgu — uległy rozbiciu, a niektóre nawet po parę razy z kolei! Furgony pocztowe — przewożące pieniądze rządowe — były stale napastowane przez bojowców.

Nieustannie—to tu, to tam — nad całą kielecką i radomską ziemią — pękały strzały browningowskie i mauzerowskie, rozlegał się huk bomb i grzmiały salwy karabinów rosyjskich. To bojowcy staczali walki z policją i wojskiem.

— Cholera dopiero! mówił jeden bojowiec do drugiego — wracając z pod Tomlina po napadzie na pociąg, wiozący wojsko i pieniądze, — zdawało mi się, że to pokurcze, taki sobie Wicek, a to — niech cię grzmot ogarnie! Takiego ci przecie rejtachy narobił w całym okręgu, jak dawniej nie bywało!

— A nie mówiłem ci, że to numer?

Franek bowiem sam wszędzie był, wszystko wiedział i znał. Inicjator i wykonawca. Sam wygotował plany napadów i odwrotu, a jeżeli nieprzewidziane przeszkody wchodziły mu w drogę, w lot orjentował się w sytuacji i, jeśli nie mógł wyjść przebojem, jak dzik, wymykał się ogłupiałym żandarmom i wojsku cicho, jak lis.

To też bojowcy idą wszędzie chętnie pod komendą Franka, darząc go ślepym wprost zaufaniem i miłością do tego stopnia, że—kiedy pewnego razu pod Kaliszem oddziałek jego, złożony z dziewięciu ludzi, został otoczony przez sześć szwadronów dragonów — wszyscy postanowili zginąć, aby tylko uratować Franka!

— Nie może inaczej być — mówili — tylko my ich tu, sobacza jeich mać, roboty mamy dotąd, dopóki wy, Franku, nie wsiądziecie do pociągu.

Ale on tylko uśmiechnął się i po trzech dobach nadzwyczajnych marszów i trudów wyprowadził swój oddziałek cało z nastawionej matni.

W tym czasie wyspał się w Kielcach duży skład broni, przeczem aresztowano również tow. Bronkę.

Radość z tego z powodu wśród carskiej administracji była nadzwyczajna! Rozpisano się o tym wypadku do różnych naczelników i gubernatorów. Niektórym szpiclom dano ordery, a żandarmi i policjanci otrzymali po 65 kop. na wódkę.

Przy tej okoliczności policmajster miał do nich taką przemowę:

— „Ja wam tu, sukinsyny, z polecenia jego wysokorodja i po swoim uważaniu—wypłacił po 65 kop. na wódkę — za to, ży wy tak bohatercko służyście ojczyźnie, wierze i jego imperatorskiemu wielczestwu. A tę kobietę powiesim, albo zeszlęm w katogru — Hurra!“

Zakrzętnęli się więc bardzo szybko i pewnego dnia zabrali tow. Bronkę z więzienia i w towarzystwie żołnierzy i żandarmów powieźli do sądu. Aliści — przeszkodził temu Franek.

Nie zważając, że z jednej strony gmachu sądowego koszary, z drugiej cyrkuł, a naprzeciw kancelarja żandarmów — wzięt z sobą trzech bojowców: tow. Walka, Sokoła i Średniego i we czterech spadli, jak źórawie na stado sępów, kruków i wron. Wywiązała się krótka walka. Padło zabitych trzech żołnierzy, zaś tym, którzy rzucili się w pogoń — rzucono pod nos parę dymiących petard i tow. Bronka była wolna.

Jeśli moskale nie byli zdumieni śmiałością tego czynu, to dlatego, iż podobne niespodzianki trafiały im się dość często, a po drugie, że zbaranieli. To obaranienie jednak — w krótkim czasie zamieniło się w zupełnie capie miny — kiedy im Franek rozbił pod Ostrowcem pocztowy furgon z pieniędzmi, a dragonów tak obałamucił, iż calusieńką noc, sądząc iż są w koszarach oblegani — prali z karabinów, aż grzmiało i dopiero nad ranem dowiedzieli się, że oni tak do swoich własnych patroli strzelają — nie wpuszczając ich do środka.

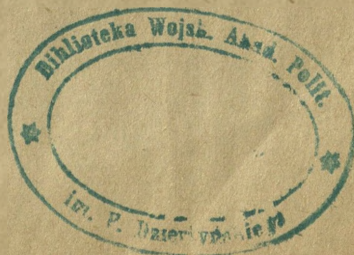
Na początku 1908 r., Sztab bojowej organizacji nazaczył jako instruktora na powiat ostrowiecki i jako pomocnika Gibalskiego, Edmunda Tarantowicza (Albina).

Tarantowicz również pochodził z Lublina. Tu w 1905 r. wstąpił do O. B. był aresztowany i siedział jakiś czas na zamku. Odbił go potem policji tow. Froim, a organizacja wysłała zagranicę. Był to wysoki blondyn z rozchylonemi ustami i szaremi oczyma, z których wciąż płynęły łzy, ale odważny i dzielny wykonawca licznych zamachow i akcji terrorystycznych w Lublinie, Zagłębiu, Częstochowie i wielu innych miejscowościach. Pomimo to nie był lubiany przez nikogo i sam nie okazywał nikomu przyjaźni — wyłączając Gibalskiego, który mu imponował, wobec którego czuł respekt, ale zarazem i cichą niechęć, wypływającą z zazdrości.

Jakoś w tym samym czasie Centralny Komitet Partji delegował tow. Justyna\*) w charakterze okręgowca na okręg Radomsko-Kielecki. Justyn, spotkawszy się z Frankiem i Tarantowiczem w Sosnowcu — umówił się, iż w oznaczonym dniu zjadą się w Ostrowcu, gdzie — Franek, wycofując się powoli z tych okolic, miał zdać bojową organizację Tarantowiczowi.

W przeddzień oznaczonego terminu, Franek i Albin (Tarantowicz) przybyli do Ostrowca. Franek, wysiadłszy z wagonu, wszedł na peron, Tarantowicz zaś skierował się wzdłuż linii kolejowej koło pociągu. Trzeba zdarzenia, że na linii stał pocztowy wagon, ochraniający przez wojsko, i jeden z żołnierzy

\*) Piszącego te słowa.



zawrócił Tarantowicza z drogi, a znajdujący się w pobliżu strażnik podbiegł do niego i krzyknął.

— „Ręce do góry!“

Tarantowicz bez namysłu wpakował strażnikowi kulę w pysk, ale w tej chwili ustawieni żołnierze gruchnęli salwą z karabinów i Tarantowicz padł, raniony w głowę, szyję i bok. Franek uniknął śmierci, padając na kolana, i kule zagwizdały mu tylko nad głową. Dobył więc natychmiast rewolweru i począł strzelać do żołnierzy. Padło trzech ciężko rannych, ale inni—kryjąc się za kołami wagonów—poczęli brać Franka na cel. Pozostawało mu więc tylko jedno wyjście—mianowicie jaknajspieszniej wycofać się, tembardziej, że nie miał przed sobą żadnej zasłony, a Tarantowicz leżał, nie dając znaku życia.

Wpadł więc do poczekalni, nabitej wylęknioną publicznością. Aby zaś sobie utorować drogę wyjścia—wypalił dwa razy w sufit i tłum momentalnie grzmotnął plackiem na ziemię. Bez przeszkody już znalazł się przed zajazdem, skąd właśnie ruszał jakiś powóz zaprzężony w cztery konie.

Franek bez namysłu wskoczył do powozu, gdzie już siedziała jakaś pani. Wystraszone strzałami konie poniosły ich jak wicher!

Ujechawszy dwie wiorsty — podziękował nieznajomej damie za milczące towarzystwo i przyszedł do mieszkania Pronobisów, gdzie już był Justyn—dopytujący właśnie o przyczynę strzelaniny na stacji. Okazało się, iż Tarantowicz żyje i, że straszliwie pobitego przewieziono do więzienia. Wiedziano, jak już skrępowanego postronkami na wozie—bili żołnierze kolbami po głowie przez całą drogę.

Franek i Justyn po krótkiej naradzie zdecydowali, że trzeba Albina odbić i w tym celu—na drugi dzień rano—Franek miał pójść i zobaczyć się z miejscowym komisarzem policji, (który potem za sympatję do P. P. S. został skazany na sześć lat katorgi — nazwiska jego w tej chwili nie pamiętam), i dowiedzieć się od niego dokładnie, gdzie umieszczono Albina, oraz zażądać, aby na dany sygnał—uwagę policji odciągnął w inną stronę miasta.

Justyn natomiast miał tymczasem zebrać bojowców i być w pogotowiu.

Ułożywszy wszystko w ten sposób—położyli się spać, aby trochę odpocząć.

Około godz. 2 po północy—Justyn usłyszał nadzwyczajny łośmot i gwałtowne dobijanie się do drzwi. Tow. Pronobisowa wstała i poszła otworzyć, sądząc zapewne, że to jej mat-

ka, która często przychodziła o tej porze. Za chwilę jednak wpadła i wyjąkała zamierającym głosem: policja.

Justyn, nachyliwszy się, szepnął w ucho śpiącemu Frankowi to samo słowo, ale jeszcze nie dokończył, a już Franek z rewolwerem w rękę stał naprzeciw rotmistrza żandarmów — Bakina. Przez jedną chwilę zapanowała w pokoju straszliwa cisza, w której wyraźnie słyhać było stukot krwi w pulsach, czy może klekot śmierci, która stanęła między tymi dwoma przedstawicielami. — Wolności i Niewoli!

Wreszcie odezwał się Bakin chrapliwym głosem: „Dlaczego wy odrazu drzwi nie otwieracie?“

— Dlatego! — odparł Franek i bluznął strzałami w ślepią żandarma.

Padł żandarm, jakby piorunem rażony!

Padli w drugim pokoju jeden po drugim dwaj podoficerowie! Jeden z żandarmów, stojących w sieni — widząc wychodzącego Franka — strzelił, ale w tej chwili sam zachwiał się i runął na ziemię ugodzony w serce kulą Frankową.

A Franek otworzył drzwi na podwórko i poszedł.

Justyn tymczasem siedział na łóżku i — trzeba to przyznać, zupełnie bezmyślnie patrzył na drzwi, za którymi znikł Franek, potem na stygnące już trupy żandarmów, potem na leżących bez ruchu, zmartwiałych z przerażenia, obojga Pronobisów i dopiero — jakby przekonawszy się, iż nikt się nie porusza — rzekł sam do siebie:

— „No, niema co, trzeba uciekać.“

Uczyniwszy to mądre postanowienie — wdział spodnie — włożył buty, zdjął z wieszadła palto i dopiero lunął we drzwi na chybił trafił.

I rzeczywiście. Stojący u wyjścia na ulicę żołnierz — przyłożył do ramienia karabin, wypalił — ale pudłował. Justyn poleciał dalej i na skrócie u węgła domu natknął się na dalszych dwóch żołnierzy. Ci wypalili jeden po drugim i oczywiście, na wiatr. Justyn przebiegł mimo nich, przeskoczył parkan i znikł w ciemnościach. Za nim rozlegały się nieustannie karabinowe wystrzały przerażonych żołdaków.

— No, niby jak dotąd — to wszystko w porządku rzekł do siebie Justyn, ale co z Frankiem?

Szedł teraz przez łąkę, którą przecinała rzeka. Dalej, przy drodze — o jakie pół kilometra od Ostrowca, stało parę domków. Mieszkał tu skarbnik miejscowej organizacji i Justyn, przepłynąwszy rzekę, skierował się w tę stronę. Ale żona owego skarbnika, dowiedziawszy się o co chodzi i słysząc przez okno — wciąż grzmiące w Ostrowcu strzały, uderzyła

w lament i nie pozwoliła mężowi otworzyć drzwi. Na szczęście—tuż za chałupami stał bróg, pod którym leżało teraz trochę słomy i przegniłych strzeszaków. Skrył się tu Justyn, ale po chwili—wyjrawszy—zobaczył stojącego przy oknie Franka. Jego również baba nie chciała wpuścić do mieszkania. Justyn podbiegł bliżej i teraz dopiero zobaczył, że bielizna Franka moknie we krwi. Franek strasznie zmęczony—słaniał się na nogach. Prześliczne jego oczy — błyskawice przysłonił kir smutku, a z ust znikł zawsze wesoły, przemity uśmiech. Jeno przepyszna, lwia grzywa puszyła się, jak zawsze, a ręka kurczowo zaciskała kolbę rewolweru.

— Kula przeszła mi piersi — mówił—zaprowadź mię do tego brogu — niech tam..

Zaprowadził go Justyn do brogu, zerwał z siebie koszulę i usiłował zabandażować rany, aby zatamować upływ krwi. Poczem ułożył go na słomie, przykrył strzeszakami, a sam usiadłszy obok, zaczął się martwić przez łzy.

— Nie mazgaj się — przerwał mu Franek.—Leć prędko do Bodzechowa i przyslij mi konie. Niech wezmą z sobą kozuch.

— Idę — rzekł Justyn i ucałował Franka serdecznie.

— Ale pamiętaj, nie opuść mię tu samego — pamiętaj! I niech wezmą kozuch — żegnał go Franek.

Od tego miejsca do Bodzechowa było dwie wiorsty. Już świtało, a z Ostrowca wciąż jeszcze słyhać było wystrzały.

Więść o tym, iż tow. Wicek ranny, leży pod brogiem, lotem błyskawicy rozniosła się po Bodzechowie.

Kobiety zaczęły płakać, a mężczyźni wyciągali z kryjówek rewolwery i wynosili się do pobliskiego lasku, gdzie już siedział na sośnie bojowiec i przez lornetę obserwował Ostrowiec, tudzież owe chałupy, do których dojeżdżała właśnie furmanka z kozuchem, na którym siedziała jedna z kobiet — towarzyszek. Równocześnie od strony Ostrowca nadjeżdżało ośmiu dragonów.

Stanęli naprzeciw owych chałup i furmankę zawrócili z powrotem.

Bojowcy opatrzyli broń i poczęli posuwać się naprzód.

— Idziem — mówili starzy robociarze—co się tam z nami będziem obtego... Wystrzelimy psiech synów jak wróble. Wicka zabierzem i pójdziemy w las.

Wtem nadjechało jeszcze dwunastu dragonów. Zsiedli z koni i pokładli się na murawie. Bojowcy się zatrzymali i zmarkotnieli. „Możem nie dojść do chałup”, i pchnęli gońców do okolicznych wsi o pomoc. Obserwator z sosny wciąż

donosił o najdrobniejszych ruchach dragonów, którzy zatrzymywali i zawracali wszystkich jezdnych i pieszych z jednej i z drugiej strony. Naraz, około godz. jedenastej wsiedli na konie i stanowisko swoje przenieśli o jakie ćwierć kilometra bliżej Ostrowca. Wtedy, nim dojechała wysłana furmanka — Franek sam wstał i z rewolwerem w rękę zmusił jednego z gospodarzy owych chałup, aby go odwiózł do Bodzechowa. W parę dni potem był już w Krakowie. Zaś do Ostrowca zjechał sam gubernator i przez trzy dni trzymał miasto otoczone wojskiem, poszukując bojowców,

Taki był przebieg głośnego w swoim czasie „zbrojnego oporu żandarmom w Ostrowcu”.

Franek szczęśliwie się wyleczył, a Justyna w cztery lata potem za „współudział” w tym „oporze” skazano na jedenaście lat katorgi.

Z rokiem 1908 rozpoczęła się wściekła reakcja — dążąca do bezwzględного złamania i rozbicia ruchu robotniczego.

Tarantowicz, wyleczywszy się w więzieniu z ran, stał się prowokatorem i na pewien czas rozbił niektóre okręgi zupełnie. Więzienia były przepelnione, na Sybir wysyłano robotników całymi wagonami.

Bojowcy, jeden po drugim, szli pod szubienicę i umierali z hardym okrzykiem: „Niech żyje Polska Niepodległa!”

Zaś ci, co pozostali, szamotali się dalej z wrogiem, ile starczyło sił — do ostatniego tchu. I organizacja nie upadała — przeciwnie — wpływy partyjne zataczały coraz szersze kręgi. Organizacja Bojowa okazała się niezwalczoną i dawała tego liczne dowody.

Gibalski — pomimo, iż szpicle i żandarmi posiadali jego dokładny rysopis i fotografię — a za zabicie go, schwytnie, czy choćby wskazanie miejsca pobytu naznaczono dziesięć tysięcy rubli, stale przebywał w kraju, organizując rozbite okręgi i kierując licznymi akcjami terrorystycznymi.

Pewnego razu spotkał się nawet w Warszawie z Tarantowiczem, który w otoczeniu agentów — chodził i jeździł po kraju — aresztując znanych sobie rewolucjonistów. Spotkanie to jednak było tak nagłe i niespodziewane, — że obaj spojrzawszy na siebie — zdębieli!

Prowokator zbladł — czując bliską śmierć. Skręcił więc gwałtownie na pięcie — wskoczył do dorożki i odjechał. Szpicle — co pary w kościach popędzili za nim.

W tym czasie — wyjeżdżał Franek dość często w okolice Wilna, aż wreszcie „zadekował” się tam na całe dwa tygodnie i z wielkim zapałem jął się rybołówstwa w Niemnie.

Zamieszkał w szałasie, strugał wędziska, złowione ryby smażył i z wielkim apetytem zjadał. To niewinne i przyjemne zajęcie przerywał jeno czasami — udając się do pobliskiej stacji Bezdany — po sól do onych ryb.

I miał prawdopodobnie zamiar młody rybak na stałe tu osiąść, bo interesował się wszystkim wokoło.

W krótkim czasie poznał w okolicy wszystkie drogi i ścieżki, rozkład stacji, ruch pociągów, zwyczaj miejscowego żandarma, wiedział gdzie i jakie stoją załogi wojskowe — i sprowadził dwie motorowe łódki.

Poczem sprowadziło się do jego szałasu jeszcze dwóch rybaków, jeno, że zamiast sieci, przywieźli z sobą mauzery i bomby, a ryby dalej łowili na wędki.

Najwidoczniej jednak sprzykrzyło im się takie spokojne życie, bo pewnego wieczoru zburzyli szałas, uzbroili się i poszli na stację Bezdany, gdzie kręciło się, oczekując na pociąg, kilku młodzieńców z minami znudzonymi — popatrując wzgardliwie na żandarma, który z uszanowaniem usuwał się z drogi spacerującemu po peronie, starszemu już jakiemuś panu.

Za chwilę na stację wpadł pociąg, w którym wieziono rządową kasę i około 40 żołnierzy ochrony.

Starszy pan spojrzał na zegarek. Jeden z rybaków począł bić szyby w okienku brankardu, drugi wrzucił do środka bombę, a znudzeni młodzieńcy, rozpiąwszy palta, dali naraz jedną i drugą salwę z mauzerów. Poczem wyciągnięto wprost za kołnierze z wagonów rosyjską siłę zbrojną. Urzędnicy oddali klucze od kasetek... i po chwili na stacji nie było już ani starszego pana, ani znudzonych młodzieńców, ani rybaków, jeno gdzieś, u brzegu Niemna, zaturkotały motorowe łódki.

Zabrano wówczas pół miliona rubli.

Właściwością każdego talentu jest troska, aby każda rzecz wykonana była nie tylko dobrze, ale aby wywierała również pewien efekt na otoczenie, była podniecią w tem czy innem kierunku — ale przedewszystkiem, aby była bodźcem dla innych do czynu.

Otóż działalność Franka posiada właśnie te wszystkie cechy wysokiego talentu.

Każdy jego czyn nie tylko budził podziw, ale krzepił serca i napełniał wiarą, że wróg nie jest tak stasznie groźny i niezwyciężony. I byle tylko mieć w sercu trochę odwagi i nie lękać się nagłej i niespodziewanej śmierci, a zwycięstwo może być po naszej stronie.

Po XI zjeździe partyjnym w 1909 roku, zostaje Franek wybrany na członka Sztabu bojowej organizacji. Jest instru-

ktorem szkół bojowych, na których obecny generał Sosnkowski wykładał teorię. W międzyczasie stale przebywał Franek w Królestwie — organizując ludzi i nieustannie tocząc boje z żandarmami, zyskując sobie u nich coraz większy rozgłos i szacunek do tego stopnia, że znany satrapa i dziki wróg robotników, — którego potem rozszarpała w Grodzisku bomba tow. Henryka Bartniaka — mawiał do aresztowanych: „Wy u mnie ni czorta nie stoicie, ale wy macie Franka. Ech, to bojowiec, sochrani ty mienia Boch! Ale gdybym go złapał, to oddałbym mu cześć. Koniecznie jabym go potem z wielką paradą rozstrzelał, ale najpierw jabym jemu oddał cześć“.

Ano nie zdążył.

Omijały dotąd szczęśliwie Franka wszystkie kule rosyjskie, aż go wreszcie dosięgła celna strzała Amora.

Zakochał się w ślicznej pannie Helenie — — — — — córce doktora — — — — — i pozyskał jej gorącą wzajemność.

Oboje teraz, jak sokół z jaskółką, krążyli po polskiej ziemi — niosąc wszędzie — jedno dobrą nowinę — drugie wiarę i pomoc w potrzebie, a zawsze uśmiechnięci, weseli, radośni — dwa cudne kwiaty, wyrosłe na cyplu skalistym wśród odmętów burzy i trzasku piorunów.

W tym czasie nikt jeszcze nie przypuszczał, iż żyjemy w przededniu wielkiej światowej wojny. Przeczował ją może Józef Piłsudski i począł tworzyć organizacje strzeleckie, które się stały fundamentem wojska polskiego. Atoli Franek — przypuszczając wówczas, iż dzięki tym organizacjom zanie dbuje się robotę w Królestwie, na tym głównym terenie walk rewolucyjnych — przeszedł do opozycji.

Narazie jednak — pomimo istnienia opozycji — wszystko zostało po dawnemu.

Sosnkowski ćwiczył swobodnie w Krakowie oddziały strzeleckie, a Franek strzelał w Królestwie żandarmów, organizował koła z bojowców, uczył ich miłości Ojczyzny, wszczepiał w umysły zasady socjalizmu i własnym przykładem pokazywał, jak należy gardzić śmiercią w obronie Wolności i praw polskiego Narodu.

W tym czasie Wydział Bojowy polecił Kubie Bojarskiemu, (który zginął potem śmiercią bohaterską w boju pod Łowczówkiem, jako oficer pierwszej brygady), zabrać pocztę, którą przewożono pieniądze rządowe z Krasnego Stawu do Rejowca, pod Lublinem. Z różnych jednak powodów nie mógł tego Kuba wykonać. Wtedy przyjechał Franek i zaraz na wstępie o mało nie wpadł w Lublinie w nastawioną pułapkę żandarmów.

Urządzili oni bowiem zasadzkę w mieszkaniu tow. Stryjenki (Ryczkowej). Jeszcze w nocy wpakowało się 5-ciu żandarmów i trzech policjantów; zrobili rewizję i pozostali. Rano sąsiadka żydówka przysłała do Stryjenki w jakimś interesie, więc ją zatrzymali. Zaniepokojona rodzina wysłała po nią jedną dziewczynkę, potem drugą, potem chłopaka i znowuż dziewczynkę. Wreszcie poszedł sam żyd, potem jego czeladnik jeden i drugi, nareszcie babka i ciotka.

Napakowało się Żydów huk! Żandarmi, klnąc w żywe kamienie — spychali ich ku środkowi, a sami, ledwie już zipiąc z zaduchu czatowali przy drzwiach. Nareszcie jeden nie wytrzymał. — „Och, jewrei praklatyje z waszą cebulą! Otwórzcie okno, albo co, a to umieraju! — No i ci bojowcy także, oby ich czort podrał, żaden nie przychodzi!“

Tymczasem bojowcy szli, ale stróż domu pokazywał im w bramie takie pantominy rękami i nogami, że co tchu zawracali z powrotem. Jeno Franek, nie spotkawszy stróża, wpadł na schody i już ujął za klamkę, ale nagle, jakby go duch opiekuńczy odrzucił od drzwi. Lekko zeskoczył z powrotem ze schodów i wyszedł na ulicę. Tymczasem żandarmi skierowawszy lufy rewolwerów ku drzwiom — czekali, ale nikt nie wchodził.

Na drugi dzień Franek ułożył plan zabrania kasy i wydał polecenia: Kuba Bojarski i Śmiałek mieli się udać do Świdnika — tu wsiąść do pociągu i pojechać do Rejowca, zaś on sam i Justyn pojechali własnymi końmi. Aliści nieprzewidziane okoliczności stanęły im na przeszkodzie: Kubę i Śmiałka chcieli w Świdniku zaarrestować strażnicy. Wywinąć się nie było sposobu, więc im trzasnęły we łby i wrócili do Lublina, zaś Franek — nie doczekawszy się ich w umówionym miejscu — kazał zawracać.

Franek i Justyn położyli się na wozie, aby się porządnie wyspać, furman ujął za lejce i pojechał szparko.

Tymczasem z powodu strzałów Kubę i Śmiałka, na wszystkich drogach do Lublina urządzono po trzy zastawy i wszystko, co jechało, czy szło, podlegało ścisłemu badaniu. Na taką zastawę natknęli się i nasi, śpiący smacznie, podróżni.

Czterech strażników wyskoczyło nagle z rowu i dwóch zatrzymało konie, a dwóch zbliżyło się do furmanki z pytaniem: „kto jediet“?

Obudził się na to Justyn, obudził się i Franek i, nie podnosząc nawet głów, strzelili z rewolwerów z pod derki.

Obaj strażnicy padli na ziemię trupami — pozostali dwaj — odskoczywszy, poczęli strzelać. Justyn dostał trzy kule.

Konie spłoszone strzałami poniosły, jak wicher, ale oto nagle z boku wypada jeszcze kilkunastu kozaków. Gruchnęły wystrzały i rozpoczął się pościg.

Rozbiegane konie wpadły na przymę i wóz o mało co nie poleciał w rów — oberwało się jeno, wiszące u rozwory i upadł kubek, a w kozaków nagle, jakby piorun trzasł. Rozprysli się na wsze strony i zaniechali pościgu. Myśleli zapewne, że to padła bomba.

Akcja się nie udała, ale Franek jej nie zaniechał.

W parę tygodni później, na jednym z podwórków na Rurach — jakiś młody chłopak w baraniej czapie na łbie i w krótkim kozuszku uwijał się sprawnie, zaprzęgając do sań parę ładnych i dobrze utrzymanych koni. Skoro już wszystko było gotowe, wyszło z izby trzech rosyjskich urzędników, wsiedli do sań, furman trzasnął z bicza i pojechali.

Jeden z urzędników zapalił papierosa i zwrócił się do furmana:

— Słuchaj Franek, a nie wysyp nas gdzie, do pioruna, do rowu, bo mybyśmy ci...

— Uwaga! — ta morda wcale nie wyraża wobec nas szacunku, ale jakieś dziwne, jołopowate zdziwienie — kończył urzędnik, obrzucając surowem wejrzeniem posterunkowego, którego mijali u rogatki.

A strażnik jeszcze długo stał i patrzył za mknącymi szybko saniami. Wreszcie machnął ręką i rzekł sam do siebie:

— Bud' ja proklat, jeżeli to nastojaszczce czynownicy, ale — nu ich k'czortu — mnie co do tego.

A od Krasnegostawu do Rejowca jechał furgon, pełen kozaków i strażników, przewożąc rządowe pieniądze.

Jadąc przez pole, śpiewali i pokrzykiwali wesoło, ale skoro dojechali do lasu, umilkli, a starszy między nimi odezwał się w te słowa:

— Nu, teraz bratcy wytrzeszczaj oczy i karabiny w pogotowiu, a to czort jego wie, co w onym lesie może siedzieć?

Ale minęli las i nic.

— Nu, sława Bohu, przejechali — odezwał się znowu starszy — naczynaj od nowa!

Ale nim zaczęli. gruchnęły nagle, nie wiedzieć skąd, mauerowskie strzały. Kozacy, jak jeden, wyskoczyli z wozu i, rzucając karabiny, pognali w pole wraz ze strażnikami. Atoli naraz stała się rzecz, której nawet Franek nie przewidział. Oto pocztowe konie zawróciły z miejsca i poszły z powrotem, jak szalone, unosząc w całości rządową kasę.

Franek wyprzągnął swojego konia i na oklep pogonił za nimi, ale napróżno.

Zabrali więc tylko karabiny, porzucone przez kozaków i, kołując, wjeżdżają do Lublina z przeciwnej strony, aż tu naprzeciw wyjechały sanie, na których siedziało pięciu strażników. Popatrzyli, minęli i pojechali; wkrótce jednak zawrócili i w ślad ruszyli za pierwszymi saniami. Tak ujechali około trzech wiorst.

— No co, jada? pytał się Franek.

— Jada — odpowiedział Walek.

— Ano, zobaczymy — mruknął Franek i skreślił w pole.

Strażnicy zgłupieli. Potem chwycili za karabiny i dali kilka salw. Bojowcy odpowiedzieli i wrotce znikli w tumanach śniegowej mgły.

To była jedna, jedyna akcja, która się Frankowi nie udało, ale o której, rad, z przyjaciółmi gwarzył.

W roku 1909 i 1910 partja przechodziła znowu kryzys, dzięki prowokatorowi Sukiennikowi. Znowu niektóre okręgi zostały rozbite i około półtora tysiąca ludzi siedziało w różnych „turmach“. Policja wyteżrzała wszystkie swoje siły, by rozbić organizację i schwycić Franka, o którym dowiedziano się od prowokatora Sukiennika b. wiele nowych rzeczy, a zwłaszcza to, że stale przebywa w kraju. Żandarmi obiecali szpiclom wysoką nagrodę za jego głowę. Akuratnie doniesiono im, że Franek przebywa w Płocku. Ruszyli tedy lądem i wodą na obławę. \*) Tymczasem Franek był w Dąbiu, gdzie kontrolował składy broni i powoli przygotowywał to i owo do projektowanej akcji. Po paru dniach wyjechał z Dąbia do Koła, gdzie u sekretarza magistratu Prylińskiego był również skład broni. Atoli Pryliński był już przez Sukiennika aresztowany, a nad jego domem ustanowiony nadzór, o czym Franek dowiedział się dopiero na miejscu. Nie mając się na razie u kogo zatrzymać, wstąpił do jakiejś herbaciarni, aby się posilić. A u żandarmów już wiedziano, że przychodził „jakiś“ i pytał się o pisarza.

Po chwili wszedł do herbaciarni żandarm, posiedział, popatrzał i w końcu zwrócił się do Franka:

— Paszport u was jest?

— Jest.

— Hm, a wy do kogo tu przyjechali?

— Do niego.

---

\*) Z aktów warszawskiej ochrony.

— Das... — mruknął żandarm i zmierzył do Franka z rewolweru:

— Ruki w wierzch! — krzyknął.

Franek podniósł ręce do góry, a żandarm rewidując oświadcza, że aresztuje go. W tym z góry pada strzał i żandarm legł trupem u nóg Frankowych.

Ale strzał w takim mieście, jak Koło, postawił na nogi wszystko co żyło.

Obsadzono wojskiem wszystkie rogatki i wyjścia, otoczono domy i robiono rewizje od piwnic do poddaszy, ale na próżno. Posterunków jednak nie zdejmowano. Widział to wszystko Franek i, aby wydostać się z miasta, próbował przepłynąć Wartę, a przekonawszy się, że nie podoła, wyszukał nad łąkami samotną komórkę, oderwał deskę i tam się ukrył. Wieczorem wyszedł na miasto i, sprawdzwszy, że posterunki pilnują u rogatek, kupił sobie chleba, koc, aby spać było pod czym i udał się na stare miejsce. Po trzech dniach dopiero ruszył piechotą w stronę Kłodawy. W drodze trafił mu się omnibus — więc wsiadł i pojechał. Ale trzeba zdarzenia, że tym samym omnibusem jechał sobie zwykły kieszonkowy złodziej, którego zainteresował wsiadający w drodze młody pan, więc się przysunął i wetknął mu rękę do kieszeni. Namacawszy rewolwer, wycofał się z pośpiechem i w Kłodawie co tchu zawiadomił policję, że jakiś podejrzany pan wsiadł w drodze do autobusu. Za chwilę przyszło dwóch strażników.

— Kto tu wsiadł w drodze? — pytają.

— Ja wsiadłem — odpowiada Franek.

Strażnicy się namyślają, co im wypada dalej czynić, aż zniecierpliwiony Franek pyta:

— No więc jakże? Mam siedzieć czy wysiadać?

— Wysiadać!

Huknęły znowuż dwa śmiertelne strzały. Franek wysiadł i poszedł piechotą. Z przyległego folwarczku wybiegł jakiś obywatel i począł za nim strzelać z dubeltówki.

Obejrzał się na niego Franek i strzelił, a obywatel, grzmotnąwszy dubeltówkę na ziemię, z przeraźliwym rykiem poleciał do domu.

Franek, dobiegłszy do stacji, trafił szczęśliwie na odchodzący pociąg. Tuż z nim wpadli strażnicy, ale wsiąść już nie zdążyli. Zatelefonowano do Włocławka i tu mocnym kordonem policji otoczono stację.

Cóż było robić? Zrzucił Franek z nóg buty, wziął na ramię koszyk jakiejś pani i najspokojniej przeszedł między szpalarami czyhających na niego żołdaków.

W tydzień potem już Walek i Sokół przebierali się po mału w stronę Turka, często gęsto wstępując do różnych znajomych towarzyszy. A ponieważ przyjmowano ich wszędzie gościnnie, więc się im też wesoło przedstawiał świat. Odańczyli przez ten czas trzy wesela, radowali się na pięciu chrzcinach i pili okrutnie z racji jakiegoś pogrzebu; ósmego dnia dopiero dobrnęli do jakichś stogów na łące i, zaszywszy się w sianie, posnęli snem sprawiedliwych i tak mocnym, że na drugi dzień, raniutko, długo ich Franek musiał szukać w sianie i potrząsać łbami, nim się ich wreszcie dobudził. Po śniadaniu, ustalwszy jeszcze raz plan działania — rozeszli się na stanowiska.

Wiedząc, że furgony, wiozące pieniądze rządowe i ochronę, będą jechały oddalone od siebie o jaki kilometr i, że siła zbrojna wynosić będzie około 20 ludzi, wybrał Franek odpowiedni teren i ułożył plan działania.

Wkrótce na drodze pokazały się trzy furgony. Na pierwszym jechało 2 strażników i jeden żandarm, na drugim żołnierz, 2 strażników i żandarm, na trzecim 11 strażników z gotowami do strzału karabinami. Obowiązkiem Sokoła było pierwsze 2 furgony przepuścić, a dopiero trzeci zatrzymać. Tak się też stało i, skoro furgony znalazły się w obrębie strzałów, zagrzmiały mauzery i pierwsi żandarmi potoczyli się na ziemię. I podczas kiedy Franek i Walek rozbijali opancerzone furgony i przenosili pieniądze na swoją furmankę, Sokół trzymał w szachu strażników, którzy, zeskoczywszy z wozu, leżeli za przyzrami kamieni, strzelając bez opamiętania.

W niespełna 20 minut już wszystko było gotowe. Usiedli bojowcy na wóz i pojechali, śpiesząc się, aby jeszcze przed wieczorem przejechać promem Wartę. Konie były dobre, szły tęgiego kłusa. Zdążyli na czas przyjechać, ale tu, nierozważnie, napił Franek zgrzane konie, które „ochwaciły” się i szły coraz wolniej. Z wielkim trudem dowlekli się do jakiejś wsi. Tu Franek postanowił odpocząć i popaść konie. W tem nadjechało czterech strażników.

Franek zdjął czapkę i powiedział im:

— Niech będzie pochwalony.

Ale strażnicy nie zwrócili na niego uwagi, jeno popatrzyli na Walka i Sokoła, przybranych w urzędnicze czapki i pojechali. Nagle zawrócili i z gotowami do strzału karabinami rzucili się na „urzędników”. Atoli Franek, z okrzykiem: „Nie troń!”, wyjął ręce z worka, w którym mieszał owies dla koni i dwoma strzałami z brauninga strącił dwóch strażników z ko-

ni, jak dwie dojrzałe gruszki. Za pozostałymi dwoma gruchnęły jeszcze z mauzerów Walek i Sokół i sprawa skończona. Ale wobec tego należało czemprowadzić dalej, tymczasem konie już były do niczego, a zwabione strzałami chłopstwo waliło z całej wsi!

Na szczęście nadjechał jakiś żyd parą doskonałych koni i Franek w te pędy postanowił mu je zarekwirować. Podczas, kiedy on przekładał żydowskie konie do swojego woza — Walek i Sokół tłumaczyli chłopom, że tak i tak — powstańcami polskimi są, że strażników należy wytłuc, Moskali wypędzić, a ziemię panom odebrać.

— Dobra nasza!

— A pomóżta no chłopaki przełożyć panom kunie! — huknął naraz jakiś starszy gospodarz.

— To są dobre kunie! — mówił do Franka gospodarz. — Pojedzieta niemi, panowie, jak się patrzy i niech Wam ta Pan Bóg błogosławi.

Po chwili ruszyli bojowcy w drogę, żegnani przez chłopów życzliwie.

Okazało się jednak, że i te konie daleko nie pójda. Wyrzucili więc z woza niektóre zbyt ciężkie przedmioty a srebro zakopali w lesie.

Wreszcie trzeba się było z końmi rozstać. Wyprężnięto więc je w Izbickim lesie i puszczono luzem, a wóz podpalamo. Ruszyli teraz bojowcy pieszo i, przenocowawszy w jakichś bagnach, na drugi dzień rano stanęli we Włocławku.

Tu, wysłuchawszy na rynku rozkazów naczelnika ekspedycji, która wyruszała, aby ich pochwycić, odpoczęli, poczem najspokojniej wyjechali do Krakowa.

Tymczasem pobyt Franka w Królestwie stawał się coraz trudniejszy. Prawie każdy agent zaopatrzone był w jego fotografię.

W łonie partji powstała opozycja. Zamiast roboty zaczęły się dyskusje. To zniechęciło Franka. Zdał więc egzaminy, wziął ślub z panną — — — — — i, uzyskawszy stypendjum wyjechał z żoną do Szwajcarii. Tu wstąpił Franek do politechniki w Wintertuhr i odrazu zajaśniał, jako pierwszy i najzdolniejszy uczeń, ceniony przez profesorów, a lubiany i poważany przez kolegów.

W tym czasie napisał parę „urywków“ z osobistych wspomnień, które były drukowane w „Placówce“ lwowskiej i był instruktorem szkoły strzeleckiej w Stróży.

Wreszcie wybucha wielka światowa wojna. Franek porzuca wykłady, zostawia młodziutką żonę, a sam śpieszy, by wziąć udział w boju o wyzwolenie Polski i, jako prosty szeregowiec, wstępuje do pierwszego pułku ułanów polskich.

Wstępuje jako prosty szeregowiec On, o którym jeszcze w 1909 r. wyrażali się, obecnie już generałowie wojsk polskich, że Franek posiada tyle i tak usystematyzowaną wiedzę z zakresu wojskowości, iż z powodzeniem mógłby zostać dowódcą pułku. I on sam zdawał sobie dokładnie sprawę z tego co umie i czem mógłby zostać, a jednak zgłosił się tylko, jako prosty żołnierz.

I został żołnierzem, chociaż, oficerowie z II-ej Brygady usilnie go namawiali, aby się przeniósł do nich, napomykając, iż odrazu otrzymałby szlify kapitańskie. Został żołnierzem, bo ambicją jego sięgała wyżej ramion, na których spoczywają oznaki oficerskie. Celem jego życia była Wolność i Niepodległość Polski, dla której już tylekroć nadstawiał swoją głowę, ambicją—czyny i praca. Zaznaczył się tu jeszcze raz szlachetny rys jego charakteru — skromność. Ta skromność, którą czkają zwykle tylko ludzie wielkiego serca i niepospolitego rozumu.

Tymczasem niepozorny żołnierz, mały polski ułan, zadziwił odrazu męstwem i odwagą najdzielniejszych nawet żołnierzy sławnej Pierwszej Brygady. A było tam przecież nie mało szalonych „straceńców“, którzy lekce sobie wazyli najgroźniejsze niebezpieczeństwa i potrafili samotrzeć uderzać na całe oddziały nieprzyjacielskie! Zadziwił znajomością sztuki wojskowej, niesłychanie szybkim orjentowaniem się w sytuacji i wogóle talentami, cenionymi przez lud żołnierski. A cóż dopiero mówić o celności jego strzałów! Pod tym względem był on mistrzem nad mistrze — nieźrównany i pierwszy strzelec w całej Brygadzie! A zawsze wesoły, dla wszystkich życzliwy — prosty w obejściu.

Starają się więc o jego przyjaźń oficerowie, kochają serdecznie koledzy żołnierze. A roboty huk, a roboty moc, ale Frankowi tak jakoś wszystko idzie składnie i dobrze i ładnie. Jadą sobie ułani, a wszyscy patrzą na tego najmniejszego. Jedzie sobie, jucha, na koniu jakby go kto przylepił i coraz się obejrzy, coś powie, coś rzeknie, a ci aż przykładają ze śmiechu brzuchy do siodeł!

— Ech, wojna, to wojenka!...

A on wesołym, bystrem okiem przemierza sine dale. Naraz wyskoczył naprzód i jeno mu w rękę błysnął mauzer, a już po polu konie włóczą kozaków...

Wracają weseli, lecz Franek coś się zamyśla i czasem smutek, jak biała chmurka, przepłynie po jego jasnym czole.

— Więc dawszys w „domu“ jeść koniowi — pisze na siodle do młodej i ukochanej żony list, pełen głębokiej troski i miłości. — Och, rwie mu się do niej serce — poleciałby lotem ptaka; spodziewa się bowiem miłego w domu gościa. — Cóż, kiedy równą miłością kocha tę pierwszą swoją kochankę — Polskę! Zostaje więc w polu i nawet mu przez myśl nie przejdzie, aby się starać o urlop. Bo i jakże?

Od małego chłopięcia marzył o tej szczęsnej chwili kiedy już będzie można w otwarte pole wyjść na wroga!

Więc też rozwijał teraz wszystkie swoje talenta i zdolności, by wroga z kraju wyżenąć.

I śniła już mu się Polska wolna, zasobna i szczęśliwa...

Myślał, że skoro wypędzi się z kraju smoka, który przytłaczał pierś narodu i sączył wokolo jad nienawiści, zniknie z Polski wraz z upiorem podłość i zdrada, nikczemność i złodziejstwo. Wszak oto oni — Polnierze — nie żałują serdecznej krwi swojej, ażeby splukać z Polski te brudy.

Myślał, że skoro opromieni Polskę słońce wolności — zakwitną wtedy kwiaty wysokich cnót obywatelskich i spadnie na polską ziemię błogosławiona rosa sprawiedliwości.

Tak myślał, a w ciemne noce, podczas przerw między jeźdźnym a drugim bojem, mówił o tem żołnierzom. Więc szli za nim bez lęku i z wiarą w sercach w boje straszliwe, z pogardą śmierci w oczach.

Bo człowiek poto żyje, ażeby umrzeć w obronie prawdy!

Został już Franek porucznikiem. Samodzielnie organizował trzeci szwadron ułanów, ale najbardziej lubił różne „wycieczki“ i „wypady“, oraz uganianie się w polu za kozakami, a był również fechmistrzem nieladajakim! I byłby może wskrzesił tradycje i czyny Pana Wołodyjowskiego, bo i postacią niewiele się różnił od Małego Rycerza, ale niestety! Wraża kozacka kula ścięła ten piękny kwiat, który dopiero zaczął rozkwitać w całym przepychu swoich barw.

W okolicach Kowla, we wsi Stobychwa, padł ciężko ranny kulą z zasadzki.

Ułani pobili kozaków i rannego Franka zabrali ze sobą. Ale im często mdlał w drodze, a w przerwach pytał o konia i prosił, ażeby jaknajpóźniej zawiadomić żonę o jego śmierci.

Po godzinie cierpień zmarł dnia 13-go września 1915 roku.

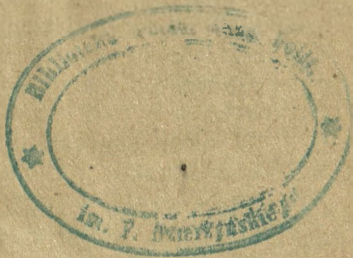
W pogrzebie brał udział cały pluton, sztab pierwszej Brygady i Komenda Placu.

Nad grobem przemawiał sam Komendant Piłsudski, w serdecznych słowach żegnając dawnego towarzysza i oficera.

Pochowano go w Kowlu, a grób mu wymurował IV-ty pluton ułanów.

Tak umarł towarzysz Franek, do ostatka członek P. P. S.

Wszystkie polskie dzienniki poświęciły mu krótkie nekrologi — oddając w ten sposób od całego narodu cześć i hołd — człowiekowi, który całą swoją młodość — pracą i trudy, a wreszcie życie oddał w ofierze ukochanej Ojczyźnie.





57480/2